



Wielcy ludzie

Koncert młodego Chopina

Wielka sala koncertowa w konserwatorium warszawskim napelniona po brzegi publicznością, wśród której przeważa arystokracja. Dzień 27 maja 1825 r. Dzień w którym „najlepszy fortepianista Warszawy” jak powszechnie nazywano 15-letniego Fryderyka Chopina wystąpi z koncertem dobroczynnym. Nic też dziwnego, że cała publiczność ściągnęła na ten koncert, gdyż młodzietki Fryderyk zyskał już sobie swym talentem od dawna sławę.

Zbliżyła się wreszcie ta chwila programu, w której wystąpił młodzietki wirtuoz. Ukazanie się jego na estradzie powitano długimi oklaskami. Ukłoniwszy się publiczności z miłym, bez cienia zmięszania uśmiechem na twarzy, Fryderyk zajął miejsce przy fortepianie. Wdzięcznie dotknął klawiatury białymi, smukłymi palcami, spod których popłynęły pierwsze tony koncertu fortepianowego F-mol Moschelesa. Grał prześlicznie, zapominając o świecie całym. Łoki opadły mu na białe czoło a piwne oczy ocienione ciemnymi rzęsami zdawały się nie widzieć nikogo i niczego.

Skończył. Na sali panowała cisza, dopiero po chwili rozszalała się istna burza długo nie milknących oklasków. Fryderyk powstał od fortepianu, którym czarował słuchaczy. Twarzeczka jego natchniona,

oraz oczy dziwnie rozmarzone zdawały się wracać z wolna do rzeczywistości.

W dwa tygodnie później w tej samej sali wystąpił ponownie z koncertem urządzonym w tym samym celu co i poprzednio, popisując się na nowo wynalezionym instrumencie podobnym do organów (aeromelodykord). Na tym instrumencie grał także przed cesarzem Aleksandrem I, który zadowolony z jego niepospolitej gry, obdarował go kosztownym brylantowym pierścieniem.

W 5 lat później, 30 listopada, Chopin pożegnał się na zawsze ze swą ojczyzną i wyjechał za granicę a wszędzie, gdzie tylko występował z swymi koncertami, zyskiwał sobie wielką sławę i uznanie. Był twórcą wspaniałych utworów muzycznych, koncertów fortepianowych, sonat, polonezów, nokturnów, walców. O ojczyźnie swej nigdy nie zapomniał, pamięć je utrwaliwszy w swych prześlicznych mazurkach, w których drga nuta melodii ludowych, zasłyszanych w stronach rodzimych. Urodził się bowiem na Mazowszu w Żelazowej Woli 1810 roku.

A właśnie teraz minęła rocznica, gdy 17 października 1849 r. zmarł w Paryżu ten największy, sławny w świecie całym muzyk Polski, mistrz tonów.

Gabriela J. Klimkówna

Jak to na wojence ładnie

Leżeliśmy na wilgotnej od nocnej rosy ziemi, schowani niemal pod ogromnymi paprociami. Wyciągnąłem się na wznak, podkładając ręce pod głowę i patrzyłem w ciemne, bezkłęskowe niebo, usiane gwiazdami. Tuż koło mnie leżał Andrzej, którego karabin czułem na nodze. Przygniótł mnie, bestia, a mnie nie chciało się po prostu ruszyć. Było tak cicho i spokojnie, no i byłem tak zmęczony, że chciało mi się po prostu spać. Czuję się jednak prawdziwym legionistą i miałem wrażenie, że naprawdę nieprzyjaciela mam przed sobą. Więc jakże spać w takiej chwili, gdy nasza komenda układa plan natarcia, błyskając ostrożnie latarkami kieszonkowymi nad mapnikami.

A że byłem zmęczony — to też nic dziwnego! Toż mamy za sobą wyczyn wspaniały: wzięliśmy pod wieczór brawurowym atakiem na bagnety wieś zajętą przez Moskali. Nie bardzo mi się tam chce normalnie gnać z karabinem przed siebie, ale tym razem jakoś walczyłem, jak lew i zostałem nawet wyróżniony w raporcie. W zapale walki tak nawet kropnąłem w kostkę Władka, że okulał. Bo Władek był Moskałem.

Szliśmy my — peowiacy z obozu w Karpatach — szlakiem legionów Marszałka, a koledzy byli Moskałami i walki szły na dobre. Teraz oto czekaliśmy na sygnał do natarcia na stary, wspaniały las, gdzie ułożył się wyparty ze wsi nieprzyjaciel.

— Śpisz? — doleciał mnie szept Andrzeja.

— Oszalaleś, teraz? — oburzyłem się, tłumiąc ziewnięcie.

Rozkazy poderwały nas na nogi. Króciutkie zamieszanie przed karną zbiórką, szeptem wydane objaśnienie — karabin w pogotowiu — ruszamy.

Szliśmy szeroko rozsypaną tyralierą. Coraz słabiej słyszałem z obu stron szelesty posuwających się kolegów z tyralier. Było ciemno. Przeraziłwicie ciemno nawet, bo tu pod dachem zbitych konarów i liści i w dzień pewno było mroczno, a teraz przecież była noc i jak już powiedziałem — bezkłęskowa. Nie widziałem i szedłem zupełnie na oślep. Potykałem się co krok i w końcu zacząłem nie przepisowo podierać się karabinem. Dookoła mnie odzywały się tajemnicze szelesty, niewiadomo przez co wydawane. Zaczynało mi się robić głupio. Próbowar-

łem gwizdać, ale raz — że nie wolno, a po drugie głos mój rozległ się tak niesamowicie głośno i przeraźliwie, że sam się przestraszyłem. Coś załopotało z boku, aż przystanąłem, obłany nagle potem. Coś stuknęło tuż koło mnie. Coś zaszeleściło za mną.

Nagle potknąłem się znów. Oho, to jakaś poważniejsza przeszkodka!... Tak, to wielkie drzewo leży powalone. Usiadę chyba i odpoczne... Ejże! a tam znów co? najwyraźniej ktoś idzie z naprzeciwka. Ostrożnie, powoli, wprost na mnie, Moskał! wrógl! A może... Ee, no przecież żadnych leśnych stworów, czy tam duchów nie ma!... Ta puszcza taka dziwna!... I taka wielka! Doskonała kryjówka dla bandytów. Wypłoszył takiego nasz hałas i... lepiej skryję się za pień i przeczekać.

Przysiadłem na ziemi i wyjrzałem ostrożnie z nad pnia w ciemności. Szelest ucichł, ale nagle usłyszałem skądś z bliska cichy krzyk:

— Kurczę pieczonę!...

No, to nie bandyту! „Kurczę pieczonę“ — to nasze szkolne i obozowe przekleństwo. Zatem to wróg, Moskał.

Stój! — krzyknąłem piorunowym głosem. Stój! — odrzyknął mi tamten nad samym uchem.

Zrozumiałem, że siedzi po drugiej stronie pnia.

— Jesteś zabity! — oświadczyłem — Ja pierwszy cię przyłapałem.

— Śni ci się! mam cię na muszce od kwadransa!

Kłamstwo wierutne! Nie ustąpiłem i posprzeczałyśmy się na dobre, który z nas ma być trupem. W końcu stanęło na tym, że wzięłem go do niewoli — a więc ustępstwo z obu stron.

Usiedliśmy na pniu i wydobyłem latarkę, aby obejrzeć sobie mojego jeńca. Zapaliłem i jęknąłem. Przede mną na pniu siedział Andrzej. Wzięłem do niewoli swego towarzysza broni! A jak by to było ładnie, gdybym przyprowadził jeńca!... Znów powiedzą, że się dekuję!...

Andrzej miał też głupią minę. Ale otrząsnął się przedzej.

— Wiesz — powiedział — Nie daleko stąd jest kilka drzewek sliwek. Wpadłem na nie przypadkiem! Doskonałe.

Cóż było zrobić? zarzuciłem karabin na plecy i poszedłem z „Moskałem“ na sliwki!...

Niezrozumiana

— Ach, daj mi spokój! co mnie to obchodzi. Nie rozumiesz mnie!...

Inka potrząsnęła melancholijnie głową i odeszła powoli aleją, zapatrzona przed siebie. Ela patrzyła chwilę za nią, potem wruszyła ramionami i machając koszykiem pobiegła do sadu po wiśnie.

— Nie chce iść ze mną, to nie! dużo mnie to obchodzi. Ale jaka ona dziwna!...

Bardzoby Inka była zadowolona gdyby mogła te myśli przejąć bo Ince właśnie o to chodziło, żeby być tajemniczą, dziwną, niezrozumianą. Snuła się po domu z zamysłą miną, zapatrzona nieruchomo przed siebie i tłumiała gwałtem ochotę do zabawy, biegania po ogrodzie z rozwianymi włosami, jak Ela i zrywaniem owoców w sadzie.

No, ale trudno! skoro chce się być dziwną i niezrozumianą...

O, że była niezrozumiana, to fakt. Jak można zmuszać ją do nauki! ją taką wrażliwą i czułą? och, naprawdę, to jest tragedia — być tak wiecznie samą, obcą wszystkim, za dorosłą dla rówieśników, a niezrozumianą i niedocenianą przez starszych. Nikt jakoś nie zwracał uwagi na jej boleśnie skrzywione usta i zapatrzoność przed siebie oczy. Niezrozumiana! oczywiście...

— Inko! przyjechała ciocia z Dankiem i Iza — przerwała Ince te rozmyślenia Ela, biegnąc takim pędem, aż wiśnie z koszyka gubiła.

— Ach, znów te dzieciaki! — westchnęła Inka, wstając z ławki i zamykając grubą książkę, której nigdy nie czytała, ale którą stałe ze sobą nosiła.

— Dzień dobry, Ina! serwus! — wołał Danek.

— Al... jak się masz! — podała mu łaskawie dwa palce — Gdzie Iza?

— W salonie z mamą i ciocią.

— Al...

Bolesne skrzywienie ust i wbity ponury wzrok.

— Co ci jest? — zainteresował się Danek. — Brzuch cię bolil przejadłaś się wiśniami.

Rzuciła na niego wściekłe spojrzenie i poszła do domu. Pewno lczy taki smarkacz może zrozumieć, że ją boli „dusza“?

Na tarasie spotkała Ize. Kuzynka podała jej dwa palce i wycedziła:

— Jak się masz? — spoglądając gdzieś przez nią bolesnym wzrokiem — kazali mi iść do ciebie ale no co? czy ty mnie rozumiesz? nie masz pojęcia, co to za tragedia, być taką samą i niezrozumianą przez nikogo.

Inka otworzyła szeroko oczy i patrzyła ze zdumieniem na Ize. Dziewczynka miała rumiana, okrągłą buzię skrzywioną do płaczu (boleśnie! tajemniczo!) i oczy prawie w słup (wpatrzono przed siebie!), Niezrozumiana!...

Inka parsknęła śmiechem.

— Tak, byłam pewna, że i ty mnie nie rozumiesz!

— Ależ daj spokój! przestań z tym głupim niezrozumieniem! To przecież śmieszne!... Chodź lepiej zagrać w tenisa!

„Czarny Jim“

Daleko, daleko, bo aż za morzem, w Ameryce, w pewnym miasteczku była szkoła do której uczęszczały oprócz dzieci białych także i czarne, dzieci murzynów. Ci właśnie murzyni są potomkami dawnych niewolników, którzy byli porywani z rodzinnych wiosek z Afryki przez statki pirackie, rozbójnicze. Kapitanowie sprzedawali biednych niewolników na plantacje, gdzie musieli darmo pracować aż do śmierci. Wszystkie ucieczki były karane śmiercią. Dopiero w ubiegłym stuleciu zniesiono tam niewolnictwo i murzyni są obecnie także obywatelami z pełnymi prawami.

Otóż do takiej szkoły uczęszczał także mały murzynek Jim.

Jim dostał w szkole od pana nauczyciela książkę z obrazkami.

Nauczyciel spostrzegł, że mały Jim, po przejrzeniu całej książki otworzył ją na pierwszej stronie i z ciekawością przyglądał się obrazkowi.

Po każdej przerwie Jim szybko wpadał do klasy otwierał książkę a zobaczywszy obrazek z radością zacierał ręce. Na drugi dzień ledwo pan nauczyciel wszedł Jim pobiegł do niego poprosił o książkę, a kiedy zobaczył obrazek głośno zawołał:

— Jeszcze go nie złapał!

Wszyscy koledzy skupili się wokół Jima pytając dlaczego temu obrazkowi wciąż się tak przygląda. I kto go miał złapać?

I tajemnica się wyjaśniła. Obrazek przedstawiał wielkiego lwa, który gonił małego murzyńka. Mały głupiutki Jim co chwila z bijącym sercem zaglądał do książki, czy aby lew nie dopędził już murzyńka i nie zjadł go.

A teraz widząc wszystkich kolegów wpatrzonych w siebie — z dumą podniósł małą kędzierzawą główkę i powiedział:

— Gdyby to był biały chłopak, to ten lew dawnoby już go złapał na śniadanie, ale czarnego nigdy nie dogoni — o, nie!...

Było sobie raz kilku przyjaciół, dziadunio i czterech wnuków. Dziadunio był kulawy, bo na wojnie nogę mu strzaskali. O kuli chodził, a i z drugiej strony jeszcze laską się podpierał. Wnukowie, byli to jeszcze mali chłopcy. Staś, najmłodszy, do szkoły jeszcze ani nie chodził. Ale wszyscy ogromnie lubili siedzieć u nóg dziadziunia i choćby godzinami słuchać przelicznych bajek, albo opowiadać o tym, jak to dawniej na świecie bywało, jak dziadziunio na wojnie bywał i bił się zawzięcie z Moskalami.

Dziadziunio aż dwie polskie wojny na karku nosił, bo i tę w roku 1831, jako chłopak 12 letni pamiętał, i tę z roku 1863. Wprawdzie już sporo lat od chwil owych minęło — wszystkie szczegóły, które ongiś przeżywał i widział, dobrze pamiętał, jak-by dopiero wczoraj się to działo. Takich rzeczy nigdy się nie zapomina, nigdy.

Pewnego wieczoru mówił o batalii grochowskiej, gdzie to garść polskiego wojska oparła się skutecznie nawale moskiewskiej. Mówił o waleczności Polaków, którzy Moskali niemilosiernie prali, o Czwartakach, ich mundurach ślicznych i nieustraszonej waleczności.

To było wojsko!

W 30 lat później, w r. 1863 dziadzio sam wojskować zaczął. Opowiadania jego z tego okresu były tym ciekawsze, gdyż sam w walkach brał udział.

— Straszne to były czasy i nierówna walka z wrogiem — mówił z powagą. — Mało było wojska wywiczzonego, mało broni i wszystkiego, co do prowadzenia wojny jest potrzebne. Tylko serc gorących nie brakowało, które wolność ponad wszystko umiłowały, życie swoje w ofierze składały. Strach pomyśleć o brakach, które w wojnie tej dotkliwie nam dawały się we znaki...

Dziadunio przez wiele wieczorów, aż do późnych nocy, długo mówił o wszystkim. A mówił tak ciekawie i jasno, że słuchaczom małym zdawało się, iż widzą atakujące wojska, słyszą jęki rannych, krzyki, łomot karabinów i głuche pomruki armat...

Liczne nam po tych latach ciężkich zostały pamiętki, najwięcej grobów i krzyży. I to nietylko na ziemi polskiej, ale na szlaku z Polski aż do syberyjskiej głuszy, szło bowiem tym szlakiem w ciągu stulecia walk o Wolność około 150 tysięcy Polaków, gnanych z ojczyzny na zawsze.

Mamy też wiele obrazów, przepojonych odczuciem głębokim tych dni.

Treść tych obrazów niech przypomina, ilekroć wrocimy do nich spojrzeniem, mienne męczeńskie dzieje naszego Narodu.

Ci, którzy w krwawym wysiłku w owe lata o Wolność walczyli nie ujrze! Jej, to też tym bardziej powinnyśmy czcić ich pamięć.

Rozpalona przez nich walka o Wolność trwała przez kilka pokoleń, aż ukończył ją zwycięsko Marszałek Józef Piłsudski.

Na ziemi polskiej powstało życie nowe.

Wrócił do niej uśmiech wesela, zadowolenie; wszędzie tętni praca.

Święto Nieznanego żołnierza

GŁOS I-szy:

Dlaczego, powiedz, wiecznie tu płoną —
znicze —
w dzień i noc warta, z poważnym chodzą obliczem.

Dlaczego, powiedz, dzisiaj tysiączne ręce
z taką czcią wielką, na płytę kładły
wieńce

I dostojnicy przybyli tutaj w gali
tak nisko w cisy głowy tu pochylali?

GŁOS 2-gi: —

— Kto tutaj leży? O imię próżno pytasz,
lecz nie generał, nie żaden wielki

dygnitarz.

Gdy zawołali, by bronić biegi swej ziemi
w szarym szeregu na wojnę sędzi z

innymi.

W jakichś okopach, jak innych tysiąc
piechurów
słuchał nocami granatów lecących górą.

A kiedy umarł, na polu skrwawionym leżał
w grób wielki, wspólny, złożyli zwłoki

żołnierza.

Nikt nie żałował, że młodo samotnie zginął
— Tyłu ich przecie umiera co godzinę.

Aż świat zrozumiał, że uczcić mu należy
wielką ofiarę miliona szarych żołnierzy.
Z wspólnego dołu przynieśli go tu w

paradzie,

generał przed nim na ładunku palce
kładzie

Czyż się spodziewał po śmierci grób taki
dostać

ten co miał życie ciężkie bolesne i proste?
Na zimnej płycie wieczysty płomień

błyska

Cześć bohaterom, których nikt nie zna
nazwisk!

kiego dziecka

Noc listopadowa

Tak było jak dzisiaj — mrok miękki
liście zeszcpane na ulicach,
tylko że czekali w Łazienkach
Belwederzycy.

Tak jak dzisiaj wiatr gwizdał i krążył
Wśród gałęzi nagich — nie inaczej
Tylko w czasie lekcyj w szkole

Wysocki wszedł i zawołał: Polacy!
Jak co dzień — było w teatrze

w kawiarniach, jak zwykle, strojne panie
Wtem mrok się krzykiem zapienił
Walka! Powstanie!

W cichym mieście — warkot bębnow
ulica

Krzyk „do broni“ w nocnej pustce
urasta

z okien trwożne twarze: — czemu
krzyczą?

i nagle — obudziło się miasto.

Na arsenali! Pierzchają Moskale
Łuna bije — noc wolności, noc szczęścia.
bruk dygoce — piersi wzruszeniem pali.
karabiny w młodych, śmiałych pięściach!

Dziś w Łazienkach wiatr w gałęziach
krzyczy

jak wtedy — wrony lecą z krzykiem

Cyt — czy to Belwederzycy
pod Sobieskiego pomnikiem?

My dziś wolni — pierzchły wszystkie
zmory

wstała Polska żywa, Polska nowa!
Nie przepadła tamta wiara i poryw
nie darmo była noc listopadowa.
(Wyjątki — z książki A. Swirszczynskiej.
Rok polskiego dziecka. Biblioteka polska — Warszawa 1936).

Listopad

Złote, żółte i czerwone
Opadają liście z drzew.
Uwidle liście w obcą stronę
Pozanosil wiatru wiew.
Nasza chata niebogata,
Wiatr przewiewia ją na wskroś,
I przelata, i kołata
Jakby do drzewi pukał ktoś.
W mokrych cieniach listopada
Może ktoś zablakał się?
Nie, to tylko pies ujadął!
— Pomyśl także i o psie.
Strach na wróble wiatru stucha
Sam się boi biedny strach,

Dmucha plucha — zawierucha,
ale szyby stoją w lżach,
Jakiś wątył wóz na szosie
Ugrzązł w błocie aż po oś,
Skrzypią, skrzypią w deszczu osie,
Jakby właśnie płakał ktoś.
Mgły na polach, ciemność w lesie,
Drga jesieni smutny ton,
Przyjdzie wieczór i przyniesie
Sny, i mgły, i stada wron.
Dmucha plucha — zawierucha.
Wicher nie chce przestać lkać,
W imię Ojca, Syna, Ducha...
— Czas już, dzieci, czas już spać.

Jan Brzechwa

Brzoza

Przy drodze tam pod brzoza
młodzutki żołnierz padł
kiedys, gdy świat wiosenne,
odświętne szaty kładł.
Nikt nie miał czasu płakać!
Padł rozkaz: — głowę niż
i przedko tu na korze
brzozowej natnij krzyż!
Jak dziś pamięta brzoza,
gdy ktoś przedziutko tak,
szablą na białej korze
czarany zostawił znak.
Gdzieś w dali huczał armat
przeciągły, głuchy śpiew...
A z rany białej brzozy
kroplami ciekła krew.
— Nic to — myślała brzoza, —
to przecież trzeba tak,
żeby tam, gdzie mogił,
świecił ten czarny znak. —
A po tym w noc miesięczną
rozplotła długi włos
i nad mogiłą cicha,
płakała długo, w glos,
Mijały przedko lata,
mogiłę deszczyk zmył,
a wiatr z niej w świat roznosił
żółty, drobnutki pył.
I nikt nie przyszedł płakać
tego co wieczny sen
znalazł pod białą brzoza
w wiosenny dzionek ten.
Tylko co rok jesienią,
gdy chłodem zimny dreszcz
wstrząsał drzew gałazkami,
gdy cicho szlochał deszcz.
Nie mając sił przed nocą
przez szare pola iść,
bielutko brzoza rwala,
zawodząc lśniący liść.
I, gnąc pień prościuteńki
do samych swoich stóp,
listkami otulała
przed zimą cichy grób.

M. A. Kasprzycka

Coś tam w lesie huknęło

Coś tam w lesie huknęło,
coś tam w lesie puknęło.
A to Komar z dębu spadł,
złamał sobie w karku gnat.

Leży Komar bez ducha,
rozpacza pani Mucha.
Dwie nóżki złamała
i łzami się zalala.

Lecz znalazła się rada:
do telefonu siada.
Dyń-dyń-dyń! Pogotowie?
Ratujcie męża zdrowie.

Kto mówi?... Pani Mucha?
Tu doktor Szerszeń słucha.
Wyraźniej bzykać proszę.
Jadę... Szykować nosze!

Jedzie karetka, jedzie...
Konik Polny na przedzie.
Trąbi Bąk - sanitariusz...
Może tam chory zmarł już?

Tłum gapiów dookoła,
więc Żuk - policjant woła:
Rozejść się taki siaki,
bo wsadzą cię do paki.

Pod dębem Komar leży.
Już mu doktor puls mierzy.
— O, pacjent bardzo słaby.
Wziąć do szpitala trzaby.

Mimo płaczu małżonki
Komara biorą bąki
na nosze, bo w karetce
trzeba go zawieźć przecie.

U szpitalnego łóża
siostrunia, Krówka Boża,
pociesza biedną Muszkę
i poprawia poduszkę.

Szczypawka, posługaczka
niesie dla nieboraczka
mydło, gąbkę, ręczniczek,
i malutki grzebyczek.

Pan Szerszeń, doktor wielki,
dał lekarstwo z butelki.
— Jeszcze, jeszcze weź troszkę,
Nic nie znaczy, że gorzkie.

Komara wyleczono,
Na spacer idzie z żoną.
Wita ich Świerszcz i Osa.
Mrówka patrzy z ukosa.

B. Hertz

Babcine wspomnienia

W małej chatce stara babcia
snuje nitkę i wspomnienia,
jak jest teraz, jak bywało,
jak to świat się jednak zmienia...
Latek temu siedemdziesiąt
z piłką biegła poprzez błonie,
latek temu coś z sześćdziesiąt,
jak do ślubu szła w welonie...
Płyną latka za latkami,
„już nas — mówią — nie ujrzycie!...“
Nić się snuje na warsztacie —
długa niby babci życie.

Jesień

Już po lecie, już po lecie,
Jesień złoty warkocz plecie,
Dla zabawy, dla rozrywki
Na niebiesko barwi śliwki,
Na czerwono barwi jabłka,
Każe grzybom chodzić w czapkach,
Chustki tka z babiego lata,
W lesie złote liście zmiata,
W sadach późne gruszki zrywa.
W polu snuje się po żniwach,
Chce się bawić z dziatwą szkolną
— Ale dziatwie już nie wolno.
— „Niech nas pani pozostawi,
— „Niech się pani sama bawi,
— „Już nie dla nas te swawole.
„My się chcemy uczyć w szkole!“
Jan Brzechwa

Uśmiechnij się!

Elżunia umie sobie radzić

— Elżuniu! bój się Boga! jak ty wyglądasz!

— To nie, mamo! miałam tłuste plamy od maselka na sukience, więc wzięłam twój krem odtłuszczający.

23) O Skrzaciku — Wędrowniczku

W tłumie zawrzało, jak w ulu. Podniosły się zaciśnięte pięści i zewsząd rozległy się krzyki:

— Na gród, na stołb!

— Myszko będzie nam wodzem. Myszko prowadzi!

Na wysoki głaz wskoczył Myszko i wrzasnął tak doniosło, że tłum zamilkł:

— Niech wszyscy ruszają do domów. Być gotowym do bitwy. Po wzgórzach uszykować stopy pod wici. A gdy ognie zapłoną, wszystko co żyje niech rusza ku Goplu. —

— Rozkaz Myszka spełniono ochotczo i po chwili na podwórku świątyni pozostał tylko Myszko i kilku ze starszyny. Na progu świątyni ukazał się kapłan Bożydar.

Kto zawiadomi siola pod grodem leżące — zapytał jeden ze starszyny — wszak tam Pepełek swoje strażę trzyma. —

Skrzacik, który tymczasem zsunął się na ziemię i zbliżył się do radzących, trącił Myszka w kolano i rzekł jak mógł najgłośniej:

Ja przejdę niezauważony wszędzie. Mam butki szybkobiegi. Powiedz co mam czynić.

— A to co? — wykrzyknął Myszko, zobaczywszy Skrzacika.

To jest Skrzacik — rzekł kapłan — który może wam pomóc. On przejdzie



...ten sznur znają wszyscy, komu pokażesz, uwierzy...



...i szybko podpalił swój stos

tam, gdzie najzwinniejszy pacholek nie potrafi. —

Myszko nie tracąc czasu wytłumaczył Skrzacikowi, że ma obejść wszystkie osiedla najbliżego Gopla położone i zawiadomić kmieci, aby stopy na wzgórzach pod wici szykowali. Gdy zaś Myszko pierwszym ogniem da znak, wszyscy mają swoje stopy zapalić i pod gród spieszyć.

— Chodź Skrzaciku — rzekł kapłan — zdjawszy ze ściany Kontyny sznur naniżanych czerwonych kuleczek, wręczył mu go mówiąc: — ten sznur znają wszyscy, komu go pokażesz, uwierzy, że ze świątyni przybywasz. —

Skrzacik z uszanowaniem wziął z rąk kapłana piękny sznur kuleczek i, zanim się obejrzano, wybiegł za bramę ogrodzenia. Butki szybkobiegi spełniły swoje zadanie i zanim słońce zaszło, kmiecie zaczęli układać stopy dla wici na wysokich wzgórzach.

Zmęczony długą wędrówką Skrzacik zasnął przy dużym stosie, ułożonym na wysokim wzgórzcu, z którego gród cały widać było jak na dłoni.

Obudził go blask jakowyś, który nie od słońca pochodził. To płonęły wici. Skrzacik zerwał się na równe nogi. Chwyć! pozostawione przez kmieci krzesiwo i szybko podpalił swój stos.

(DCN)



DZIAŁ ROZRYWEK

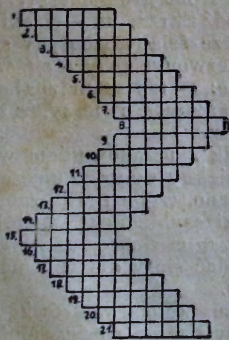
Nr. 27

UKŁADANKA WYRAZOWA

(5 punktów)

W kwadraciki należy wstawić odpowiednie litery, które utworzą 21 wyrazów o podanym znaczeniu. Pierwsze litery tych wyrazów czytane z góry na dół dadzą dwa imiona i nazwisko znanego polskiego powieściopisarza, autora powieści z dziejów Polski.

Znaczenie wyrazów: 1) Imię żeńskie, 2) nazwa jednej z cyfr, 3) nasza planeta, 4) rodzaj utworu poetyckiego, 5) imię męskie, 6) inaczej: drwina, szyderstwo, 7) pismo codzienne, 8) rzeka w Polsce, 9) imię męskie, 10) słodka substancja otrzymywana z trzciny lub buraków, 11) imię męskie (wspak). 12) miasto polskie, 13) inaczej: notariusz, 14) imię żeńskie, 15) skórzana kulbaka na konia, 16) dodatnia cecha charakteru. 17) imię żeńskie, 18) pora roku, 19) tytuł cesarza tureckiego, 20) szarża podoficerska, 21) imię męskie.

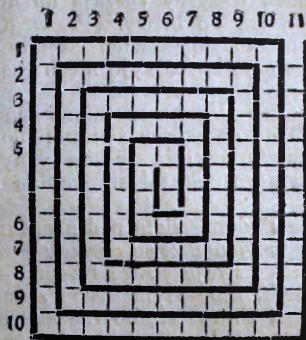


Nr. 28

BŁĘDNIK WYRAZOWY

(8 punktów)

W kwadraciki wzdłuż grubych linii poczynając od górnego z prawej strony wpisać należy odpowiednie litery które w



rzędach pionowych i poziomych, obramowanych grubymi liniami, utworzą 21 wyrazów o podanym znaczeniu, o wspólnej ostatniej literze.

Znaczenie wyrazów: 1) Tytuł powieści Prusa. 2) Pierwsza litera imienia i nazwisko znakomitego powieściopisarza polskiego, autora powieści „Stara Baśń”. 3) Nazwisko i imię poetki polskiej (umarła w 1895 r.) autorki popularnego „Ilustrowanego skarbczyka polskiego”. 4) Imię męskie. 5) Artystka wygłaszająca z pamięci utwór poetycki. 6) Pierwsza litera imienia i nazwisko znakomitego malarza polskiego, autora słynnych cykli obrazów, osnutych na tle powstania styczniowego. 7) Inaczej ekwipunek żołnierski. 8) Znakomity bajkopisarz polski, biskup warmiński. 9) Człowiek uprawiający intrygi. 10) Umowa między państwami. 11) inaczej: amulet przynoszący szczęście. 12) Rzeka w Polsce. 13) Przyrząd do spryskiwania wodą. 14) Skutek przedziębienia. 15) Profesor, sprawujący z wyboru zwierzchnią władzę na uniwersytecie. 16) Górna kończyna u człowieka. 17) Artysta sceniczny. 18) Czasokres 19) Ptak domowy. 20) Miara powierzchni 100 metrów kwadratowych 21) Pierwiastek chemiczny, wynaleziony przez Marię Skłodowską i jej męża.